

Zeby ciągnąć to długie zdanie, jakim jest, według Wyki, literatura, trzeba do jego toczenia i wydłużania wytrwałości, regularności i cierpliwego siedzenia na miejscu, słowem, owego Sitzfleischu, bez którego choćbyś miał głowę światłą jak żarówka, a serce gorące jak huta — nie zaczernisz kilkuset stron papieru, nie zrobisz do druku tomu. Sedenteria — zaleta urzędnika — bywa też cnotą literacką i prozaik owocujący co roku posiadają ją w stopniu heroicznym. Tylko dojeżdżaczom Pegaza ta cnota

honorariach za druk odmówiono. Po grosz więc miły, bo konieczny, ale i po wiedzę o ludziach i sprawach, po surowiec pisarski.

Nie słyhać już, żeby kto u nas oskarżał piszących o brak, jak się to mówiło, „związku z życiem” i nieznajomość „rzeczywistości”. I ci posługujący się długopisem i owi, którym do wystukania wierszyka wystarczy jeden palec, widzą, słyszą i czują więcej, niż potrafią czy mogą wyrazić. Wcześniej lub później (raczej później niż wcześniej) muszą z tych objazdów apostoelskich powstać nasze mało po-

dzieńczej egzaltacji hymny — te ze „Śrub” i z „Oburącz” — na cześć człowieka — maszynisty i jego twórczej woli. Tylko wieśniak mógł czuć tak namiętne uwielbienie dla lokomotywy i tak pisać o samolocie. Któryś z naszych futurystów-prymitywistów (w Warszawie głosili oni wówczas „barbaryzm”) powiedział wtedy złośliwie, że obnoszę się w swoich wierszach z maszyną, jak Murzyn ze spodniami na ramieniu... A oto i dziś mówię tu o elektryczności na wsi, jakby to był cud niepojęty. Nie, nie jest to takie śmieszne, jak się wydaje miłośniczkom; poszperajcie no w statystykach: czy połowa mieszkańców Polski przekręca już w mieszkaniu kontakt elektryczny i kran wodociągowy?

JULIAN PRZYBOS

PROWINCJA ŻYJE

nie służy, nie wierzę, żeby liryk co wartościowego wysiedział, bo wiersz wymaga ruchu. Łatwiej poemat wytańczyć i wylatać, niż jak jajo wysiedzieć. Nie dziwią więc poeci wędrujący po kraju z porankami i wieczorkami, ale że w tym, zdawałoby się, im tylko przyrodzonym ciągu widzi się równie często powieściopisarzy i nowelistów — to już sprawa godna rozważenia. Jeżdżę ja, i z konieczności i z potrzeby, z wierszami po kraju i to spotykam się, mijam, to biegnę po śladach epików, autorów tych właśnie nie kończących się wielotomowych zdań. Tylko już owi najgłębiej w godnościach i na laurach osiadli nie ruszają się z miejsca. Co to znaczy? Czyżby cała polska literatura poszła — jak się to już mówi — „na saksy” i jak kino wędrownie czy cyrk stała się imprezą objazdową? Chudy w Polsce bardziej niż gdzie indziej literat migruje ze stolicy na prowincję, „w teren” i z powrotem po złotówek niewiele. Tak dorabia czego mu w

bożne homilie. Chcę rzec: dopiero teraz, po którymś z kolei Planie zarysowuje się już nie tylko w abstrakcyjnym rachunku i domysle, ale w dostrzeganej przez ogół rzeczywistości to, co dawniej inżynierowie dusz kazali od święta. W kraju dźwigających się z biedy chłopów i robotników widnieją już zarysy socjalistycznego świata.

Widać je w pejzażu ożywionym nowymi drogami, rozjaśnionym w ciemnych dawniej osiedlach światłem elektrycznym, znać w konturach świeżo wzniesionych fabryk, podnoszących tę wielką zapadłą wieś, jaką była Polska, w górę ku cywilizacji przemysłowej, ku miastu, ku „wysokościowcom” wyskakującym nieoczekiwanie w znajomych od dzieciństwa kątach kraju... Wędruję po Polsce i pasę tymi widokami oczy. Jest mi niekiedy tak, jakbym czytał w tym zmienionym obliczu Polski ucieleśnione własne sprzed trzydziestu lat pragnienia i emocje maszynowo — urbanistyczne. Wykrzykiwałem wtedy w mło-

Ale ja chciałem nie o tym. Nie zamierzam przecież składać raportu, do czego brak mi pilności i obrotności. Mało dbałem o te cnoty i zalety, bo jak powiedział poeta „wystarczy mi jedna nuta, by słyszeć symfonię”. Z niewielu uderzających szczegółów dośpiewać sobie można tyle, że starczy na więcej niż sprawozdanie reportera. Na co więc, na wierszyk? Zapewne... Na wiersz i niemyślne stwierdzenie zmian, jakie zaszły w odnoszeniu się Polski powiatowej, a nawet gminnej do wiersza właśnie, do pieśni, do obrazu i wzorca plastycznego, do literatury więc i sztuki.

Polska powiatowa, a nawet mniejsza, miasteczkowa, gminna, przegłosowała w sporze o ozdoby centralną i zawyrokowała bezapelacyjnie, że **dzisiejszy** jest tylko „Pikas”. Niedawno śmiał się z tego w „Przeglądzie Kulturalnym” pewien wybitny „Szpilkarz”, upatrując w meblarskich „pikasach” podobną do dawnej szmiry i obrazę. Zapewne, ale śmiech ten szarżować winien nasz przemysł meblarski, a nie ten zmieniony smak szerokiej publiczności i najszerszych mas. Za tym gustem powszechnym dziś i masowym zamówieniem społecznym nie nadąża państwowy przemysł meblarski i odzieżowy, drobni więc wytwórcy z braku potrzebnego surowca majstrują ręcznie namiastki. Na staroświecki z wysokim polyskiem nasz przemysł luzia! A nie na upodobania ludowe! Nie na tę rewolucję we wrażliwości estetycznej ludzi prostych — ta niech żyje i rozkwita! Tyleśmy się nawojo-

(Dokończenie na str. 7)

wali walcząc o nowoczesne oko w Polsce, a oto patrzy nim teraz znakomita większość w ojczyźnie Matlejki. Kiedyś, w minionej epoce, prorokowałem w wierszu atakującym miniony schemat artystyczny — tak prorokowałem o Strzebińskim: „Dzień przyjdzie, kiedy jego „Słońca” oświecą oczy wszystkich — od razu”. Czyżby ten dzień gwałtownie się w Polsce zbliżał? Na jedno oko patrzy nowoczesnie już większość, na oba — czyżbym miał dożyć, i to rychło, tej pociechy, że przejrzy prócz niewielu „widomych ślepców” — cały naród niegdyś Kopernika, a dziś — wedle pewnych gustów w Warszawie — naród rzeźbiarza świątków, Kudły?

Lekko to pisać, a serio myśleć: wraz z tym, co się zowie stabilizacją w Polsce, a co jest pierwszym zaledwie i skromnym owocowaniem kilku pięcioletnich nakładów gospodarczych, podniósł się wyraźnie także poziom kulturalny ludzi w Polsce. Już ich nie zadowala przysłowiowa makatka z jeleniem, komoda z fornirem i — śmiał twierdzić — państwo Matysiakowie

dyskusyjnych, klubach i uczelniach. Twierdzą, że w tym pospolitym ruszeniu przeciw dulszczyźnie i sentymentalnej tandecie w sztuce i literaturze prowincja wzięła wyraźnie górę nad stolicą. To tu w stolicy myśli się po staremu o kulturze masowej, kiedy organizuje się plebiscyty radiowe na temat grafomańskich piosenek, kiedy raczy się Matysiaków „podwieczorkiem przy mikrofonie” i ciągnie o nich powieściowe bajduły. To tu nie dostrzega się pilnego zamówienia społecznego na nową sztukę, inspiratorkę wzornictwa przemysłowego. To tu w stolicy zapełnia się galerie wystawowe XIX-wiecznym malarstwem, lub... fotografiami. Śmiesz ta bezradna ucieczka wystawców od sztuki do zdjęć — z przodu i z tyłu — kotków, — śmiesz, ale i smuci. Zamiast przodować, stolica wlecze się w ogonie Zielonych Gór, a cóż dopiero Krakowa. Ludzie na prowincji zmienili tymczasem gust i chcą niefałszowanego, współczesnego piękna, tego, z którego felietonista dostrzegł w stolicy tylko wiechowa tego „pikasa”.

A może to leży w dialektycznym porządku rzeczy? Koncepcja spo-

czarowana dorożka” lub „Pieśń o fladze” są arcydziełami, czy też kiczami skrojonymi z poetycznej tandety. A w warszawskim „Krzywym Kole”, klubie przecież intelektualistów, znalazł się jeszcze jednak ktoś z zapóźnionych, co wątpił...

Nie chwytaście mnie za słowo. Nie wynoszę ja gustów panujących w Kłaju i we wszelkim Ryczywole nad „Zachętą” w Warszawie. Ani nie apeluję do stołecznych rządców dobrami kulturalnymi, żeby upowszechniali wyłącznie Stażewskiego i Pendereckiego, Karpowicza i Hansena, Mrożka i Sandauera. „Pa-za gar eksuzija pazin lelecho” — powiedział już dwadzieścia trzy wieki temu pewien mądry Greczyn, co się wyklada: „muszą być poezje na każdy gust”. Polityk musi się liczyć z potrzebami kulturalnymi wszystkich, a więc także drobnych mniejszości. Zawsze lepiej, jeśli młoda dziewczucha upaja się piosenką Przybylskiej niż wódką. Lepiej, ale dla kultury wcale jeszcze niedobrze. Polityka kulturalna w kraju dążącym do socjalizmu winna bowiem nie tylko zaspokajać zastane potrzeby, ale budzić nowe, wyższe. Zapewne, dopiero w okresie komunizmu, wtedy, kiedy ludzie nie będą się różnili poziomem wykształcenia, dopiero wtedy Sztuka przez wielkie S (a nie „popularna”, „rozrywkowa”, „lekka”) stanie się udziałem, a może dziełem wszystkich. Ale już dziś winni by czuć Konsulowie, ażeby prowincjonalna Rzeczpospolita garnęła się do tak złośliwie przez stołecznych felietonistów zwanego „pikasa”, czyli do sztuki nowoczesnej — od napastliwych zacofańców stołecznych nie poniosła szkody...

Ja od czasu, kiedy zobaczyłem w swojej wsi rodzinnej pastucha na motocyklu, wierzę bez zachwiania, że za tym motocyklem biegnie w najdalsze kąty kraju nowa wrażliwość nie tylko na benzynę i motor. Nie do pomyślenia jest już przecież — poza konserwatywną szkołą — ów dawny „Jaś, co nie doczekał” (na tę ckliwą Konopnicką zżymają się też dzieci Polonii zagranicznej, a innej Konopnickiej, wielkiej liryczki z tomu „Italia”, szkoła nie ujawnia). A kto w Polsce gminnej wiesza jeszcze na ścianach konika z dziewczyną, słodką buzię cudną, kto za Kossakami, kto za Stachiewiczem? Coraz mniej tej narodowej sztuczki. Pod zanikające już „strzechy” zabłądzą wcześniej, niż oczekiwaliśmy, rodzimi Picasowie bez „pikasów”.

JULIAN PRZYBOS

PROWINCJA ŻYJE

coraz mniej budzą podziwu. Przemysł lekki, radio, telewizja, a nawet wydawnictwa spóźniają się w biegu wyobraźni estetycznej mas ku sztuce i jej zastosowaniu w wytworach codziennego użytku. W czasie swoich wędrówek krajowego obieżysasa spotykałem się z objawami tej podniesionej wrażliwości i lepszego smaku wszędzie. Wszyscy wszędzie chcą „pikasa”, to jest, mówiąc bez łatwiutkiego przekąsu, rwą się do świata kształtów i dzieł objawionych w naszym, a nie zeszłym wieku, wszyscy chcą być nowocześni. Pisałem już tu, że pewne wnętrza w Rzeszowie z trudem znalazłyby równie piękne odpowiedzi w stolicy, ale i w Zielonej Górze, w Grudziądzu, Toruniu i powszędzy ożywiły się ambicje kulturalne. Wystrzyła się wrażliwość na kolor, na dźwięk, na słowo i świadczy o sobie we wszelakich przybytkach muz: w teatrze, w salach wystawowych, na wieczorach

leceństwa socjalistycznego nie dopuszcza podziału nie tylko na klasy, ale także na kulturę centralną i peryferyjną, na stolicę więc wartości artystycznych i ubogą w nie prowincję. Socjalizm zakłada sprawiedliwe, a więc równomierne rozprawdzenie także dóbr duchowych. Pobudzenia umysłowe szły jednak dotychczas od centrum ku peryferiom kraju. Czyżby to, co obserwuję z dala od Warszawy było pierwszym sygnałem nowego porządku w dziedzinie tak subtelnej, na tak wysokich piętach nadbudowy, jak wyobraźnia i smak estetyczny?

Byłbym ciekaw, co o tym sądzą nie tylko, jak ja, wojażujący na prowincjonalne „saksy” pisarze, ale i badacze opinii publicznej, socjologowie i tak zwani działacze oświatowcy. Rozmawiałem z jednym z nich z powodu nowej rozprawy Sandauera o Gałczyńskim. Działacz ów twierdził, że w ich środowisku nie miewa się wątpliwości, czy „Za-